

# DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:  
Aleksander Zwierzyński

13820  
Dodatek kulturalno-literacki

## Dzieła chłopca-mocarza

O bok Albigowej za wzorową wieś polską w naszej części kraju uchodzi od pół wieku Handruchówka w powiecie lańcuckim. Mała ta miejscowość, nie licząca nawet 2.000 mieszkańców, słynie szeroko, jako jedno z najbardziej uroczych osiedli. Handruchówka, przed pięćdziesięciu laty, to obraz nędzy i ciemnoty. Ani szkoły tu, ani domu gminnego, a kościół parę wieków liczący, chylił się coraz mocniej ku ziemi. Władza wsi wójt - analfabeta, a jego totum fackim, pisarz gminny Żyd.. w którego karczmie wszystkie odbywały się zebrania, czyto zarządu gminnego, czy wyborcze. W wódce żydowskiej topiono i rozum i dobytek, a każdy przedni wiek stawał się z roku na rok coraz poważniejszą klęską. Na te właśnie smutne czasy, przypada początek działalności chłopca - mocarza, Franciszka Magryśa z Handruchówki.

Niezwykłe ciężkie było od samego dzieciństwa życie Magryśa. Urodzony jeszcze w dobie pańszczyzny, bo 23 września 1846 roku, zawsze w domu pamiętał głód i biedę, która była zresztą udziałem całej wsi. Wydane w roku 1932 „Pamiętniki” dokładnie i barwnie odmalowują to całe, s'nie zaciemnione tło, towarzyszące całemu jego życiu. Po śmierci ojca, dostał się niedługo w tyranję drugiego męża matki. Z nią całą spędzał na napięku, a dopiero wiosną nadchodziło częściowe wyzwolecie, kiedy mu kazano pędzić w pole bydło. Chleba zawsze brakło, a już radość panowała w domu wielka, gdy ojczym, zwłaszcza w poście, kupił czasem bobu, który jedzono w karczmie. Miał zaledwie 6 lat, kiedy go matka zaczęła uczyć czytania. Po zgonie ojczyma zabrał się z bratem do tkactwa i właśnie to zajęcie pozwala mu przez szereg lat utrzymywać siebie i matkę z młodszym rodzeństwem. W wolnych od ciężkiego zajęcia chwilach czyta i czyta. Horyzont myśli mu się rozjaśnia, ale równocześnie w całej smutnej grozie, objawia mu się nędza i ciemnota współziomków. Kmiecie z Handruchówki, choć mieli po 20, 30, a nawet 50 morgów gruntu, cierpieli biedę, bo nie znali racjonalnej uprawy roli. Mleko było niemożliwe do picia i masła nigdy nieniał nie zdołano z niego zrobić. Ludziska widzieli w tem czasy, a tu tymczasem trzeba tylko było trzymać mleko w czystych naczyniach. Była to również epoka kołtuna. Nawet lekarze kazali kołtun zapuszczać, to też w Mandruchówce każda baba i każdy chłop z „urzędu” tę piękną ozdobe głowy hodowali. Podobnie było z upuszczaniem krwi, radykalnym lekiem na wszystkie choroby. Pijaństwo toczyło całą wieś.

Najpopularniejszym przysłowiem tych smutnych czasów było powiedzenie: „Kto karczmę minie, ten nogę wywinie”. Po śmierci matki Magryś się ożenił. Złe jednak trafił, bo niemal od ślubu

zapadła mu żona na ciężką chorobę umysłową. Dwoje jego dzieci z tego powodu traci życie, a przecież widzimy, że jest to najbujniejszy okres jego działalności. 19 marca 1874 roku, po przepe-dzeniu Żyda - oszusta, zostaje nasz działacz pisarzem gminnym.

Mały i skromny to urząd, a jednak jak wielkich potrafił na niem Magryś dokonać czynów. Po nominacji za nic w świecie nie chciał urzędować w karczmie, tylko wynajął lokal u organisty, a w parę lat później doprowadził żelazną energią do budowy domu gminnego. W tym czasie nawiązuje kontakt z ks. Stojalowskim i zaczyna pisywać do Wieńca-Pszczółki Magryś decydował o obliczu politycznym swych okolic. Sam się nie wysuwał, — ale od niego wybór posłów zależał.

Doceniał Magryś w całej pełni niebezpieczeństwo żydowskie, to też kiedy część Handruchówki z rąk Niemca, przeszła w posiadanie żyda, zgromadził kapitały i przy pomocy niewinnego, ale skutecznego fortelu, duży szmat tej ziemi zakupił dla sąsiadów i siebie. Z arrendarzami tak długo walczył, dopóki się z jego wsi nie zabrali. Dziś Handruchówka dzięki Magryśowi, nie tylko nie posiada karczmy, ale nawet ani jednego żyda. 24 sierpnia 1889 przybył do wsi nowy wikary, a niedługo proboszcz ks. Władysław Krakowski. Magryś pozyskał go dla swoich zamysłów i odtąd

Handruchówka rośnie poprostu w oczach. Popatrzmy na dalsze dzieła tych dwu ludzi czynu i nieustającej energii. Zaczyna się to od szkoły. Zrazu ks. wikary uczy dzieci u siebie w izbie, Magryś jednak doprowadza wkrótce do wybudowania szkoły. Za szkołą dzie budowa solidnej drogi przez wieś, za drogą kółko rolnicze, za kółkiem Kasa Stefczyka, a dalej wielki wysiłek budowy nowego kościoła. Tymczasem w roku 1906 niestrudzony ks. Krakowski zapada na zdrowiu i umiera. Magryś s'e troi i kościół wykańcza. Czyny jego nie znają jednak końca. Zaniedbania dziesiątek lat odrabia jeden mały z urzędu człowiek czyniąc ze swej wsi warownię ducha i siły polskiej. W roku 1908 przy współpracy nowego proboszcza ks. Krzyżaka, organizuje Magryś budowę plebanji i nowej szkoły, a w rok potem doprowadza do założenia spółki mleczarskiej. Tuż przed wojną, dzięki Magryśowi, otrzymuje też Handruchówka kredyty na budowę nowych mostów. Wojna w części niweczy wielkie dzieła. Także w pozycji Magryśa następuje zmiana. Przestaje być sekretarzem gminnym. Powoła wraca Handruchówka do dawnej świetności ekonomicznej. Gorzej jest jednak z jednolitością wsi. Po roku 1926 następuje rozdzielenie. Magryś, który w służbie dla Polski nigdy nie ulegał żadnej doktrynie, z żalem spostrzega, jak wrogowie usuwają jego portret

z sali domu ludowego i jak niszczą budynek ze sceną w parku zabawowym, ofiarowanym przez Magryśa młodzieży. W roku 1928 krzywdy te twórcy nowoczesnej Handruchówki zostały naprawione. Portret wraca na dawne miejsce, park odzyskuje poprzednie oblicze, a Magryś otrzymuje skromne odznaczenie.

Odtąd usuwa się w cień. Zresztą swoje zrobił. Pijaństwo zwalczył, Żydów usunął, z wsi ciemnej i przymierającej głodem, uczynił wzór osiedla chłopskiego. Skoro wnukniemy w warunki w jakich Magryśowi przyszło działać, to zgodzimy się na obdarzenie go mianem chłopca - mocarza.

Magryś posiadał dużą umiejętność pisania. Bibliografia jego artykułów wierszy obejmuje 114 pozycji. Umarł budowniczy Handruchówki 31 maja br. w pełnej przytomności, po przeżyciu 87 lat życia. Półwiecze jego pracy, to nowy kościół, plebanja, dwie szkoły, dom gminny i ludowy, Kasa Stefczyka, park zabawowy (!) dla młodzieży, parę mostów i drogi, a przedewszystkiem przeobrażenie ciemnej masy, w świadomą część społeczeństwa. Nasuwa się na koniec uwaga, że gdyby wioskami polskimi Magryśie rządził, to problem wewnętrznego odrodzenia Polski byłby szybko rozwiązany. Jak dotąd jednak, tacy jak on, zjawiają się po wsiach niezmiernie rzadko. Może jednak w wolnym państwie zrodzi się więcej, równie świetlanych postaci. Może nadejdzie jeszcze pokolenie nowych Magryśów.

Włodzimierz Bilan

## Z notatek o „Cyganerji lwowskiej”

Zwolna dźwigało się życie galicyjskie z toni narazmu i ogólnego przygnębienia. Błady świt wolności roku 1848, który zaledwie krańcem swojej łuny zabłysnął na ponurym horyzoncie politycznej sytuacji Galicji, skoro zgasł, głębiej pograżył ducha narodu w odrętwieniu. Nie na długo jednak. Już z początkiem lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia, spory zastęp utalentowanych, młodych duchów, w zatechłą atmosferę zastoju, wprowadzać zaczął dużo fermentu i wrzawy, dużo szlachetnych myśli i zamierzeń. W jego ręku znalazł się teraz pieczętowiec od czasu utraty wolności, przechowywany z pokolenia w pokolenie, tlejący znicz samodzielnego bytu. Wątlym zrazu migocący płomykiem zaczynał jaśnieć. Biegu zaś wypadków historycznych nie mogło zatrzymać na pędzie, żadne, nawet drakońskie rozporządzenie władz austriackich.

Cyganerja lwowska, owa czynna i żywa poprzedniczka „Młodej Polski”, tętniąca brawurą kresowego miasta, łamiąca kruche obręcze konwenansów i przesądów, — tworzyła prawdziwą demokrację polską XIX wieku. Grupująca w swem łonie najzupełniejsze talenty epoki, w której działała, pozostawiła po sobie legendę, trwale zapisaną na kartach czasopism lwowskich, wycze-ku-

jąca zdawien dawna milującego biografa, któryby ją zdołał wskrzesić i należycie opracować. Potężny ruch umysłowy, jakiego w tym czasie żadna z dzielnic Polski nie miała, tu we Lwowie, szumiał potęgą wezbranego potoku górskiego, niszczącego piętzące się zapory i szerokim korytem rozlewającego się po wyschłej, a spragnionej glebie galicyjskiego życia narodowego. Siłą jego było rozgałęzione czasopiśmiennictwo, środkami — doborowe pióra współpracowników, potęgą — zapalne, gorące serca i entuzjazm dla sprawy narodowej. Od „Dziennika Mód Paryskich” do radykalnej „Czytelnicy dla młodzieży” Cieszewskiego i tajnej „Prawdy” (1863) — skala dosyć rozpięta. Jej stopniami „Gazeta narodowa” (1848), „Dziennik literacki” (1854-5) pod redakcją Szajnochy, „Nowiny” (1855-6) i na nowo do życia powołany „Dziennik literacki” (1856 — 1870) pod kierunkiem wytrawnego i doświadczonego sternika, Jana Dobrzańskiego.

Burzyła mocno nawierzchnia życia lwowskiego, kiedy doborowe grono młodych zapaleńców, wytrwałych strażników radykalnych przekonań, związaawszy się mocnymi węzłami przyjaźni, szerzyć zaczęło poglądy, które czasem doprowadziły do pozytywizmu. A trzeba podkreślić, że z łamów „Dziennika li-

terackiego” wcześniej znacznie posypały się strzały na romantyzm, aniżeli „Przegląd tygodniowy” Wiślickiego uformował „tyralierkę pozytywistów”.

Mecenas literatury „uprzywilejowany” dzierżawca drukarni zakładu Ossolińskich” Wojciech Maniecki, wydawca „Dziennika literackiego” (1854—1855) przy pomocy „króla Jana”, jak Jan Dobrzański nazwał, dbał by szpałty „Dziennika” ozdabiały nazwiska znanych pisarzy lwowskich: Szajnocha, Lobeski, Dobrzański, Łoziński i inni drukowali tu szereg cennych artykułów, które dużym cieszyły się rozgłosem. Krótko utrzymał się „Dziennik literacki”. Z chwilą kiedy przestał wychodzić, Dobrzański założył „Nowiny”. Pod sztandary nowego pisma schroniła się teraz gromadka, mocno rozczochrana — jeszcze więcej utalentowana, młoda i pełna zapału. Zacharjasiewicz, Ujejski, Romanowski, Zmorski, Pawlikowski, Wojski, Kostecki, Karpiński, Palgert, Bielawski, Starkel Łoziński — oto trzon cyganerji lwowskiej, która swe siły w służbę poezji i prozy oddała. Każda z tych postaci to synonim stanowczej walki z bezdusnością i martwością ówczesnego społeczeństwa. Każde wspomniane nazwisko to osobny rozdział historii kulturalnego Lwowa.

Wystarczy przejrzeć poźółkłe karty

wspomnianych czasopism, aby przekonać się o wartości utworów, którym rysowano własne oblicza i profile. Wyraźne, energicznymi pociągnięciami ołówka kreślone, dziwnie zatarty się w pamięci ludzkiej i w zapyłonym lamusie, zasmute nicią pajęczej siatki zapomnienia, legły na długi okres czasu.

Pewien chaos poglądów i dążeń, jaki przejawiał się w ogólnej wytycznej, brak skryzalizowanej myśli, około której obracać się powinny zainteresowania całej lwowskiej cyganerii, nie mało także przyczyniły do jej zapomnienia.

W „zapomnienia zbrodnie” poszła ciekawa nad wyraz postać ofiary sądownictwa austriackiego, redaktora „Czytelni dla młodzieży” — Karola Cieszewskiego. Przypuszczalny autor artykułu „Porozbiorowym szlakiem”, nie mało kłopotów przysporzył swoją „Czytelni” władzom zaborczym. Cień, przesłaniający jasną drogę Cieszewskiego w budzeniu ducha narodowego — to pojedynek z Walerym Łozińskim, którego

tragicznym epilogiem była śmierć twórcy „Zaklętego dworu”. A trzeba wiedzieć, że pojedynki, były wśród literackiej braci Lwowa zjawiskiem nader częstym. Nie jest też tajemnicą, że Łoziński na parę miesięcy przed otrzymaniem z ręki Cieszewskiego ciężkiej rany głowy, pojedynkował się aż dwukrotnie z Janem Dobrzańskim. Raz wymienił z nim kule (około 8 czerwca 1860) w Medyce, majątku Pawlikowskiego, drugi raz rąbał się z nim na pałasze we Lwowie (22. 6. 1860). Ale i najspokojniejszy i najbardziej może zrównoważony z całej gromady pokrewnych dusz, Mieczysław Pawlikowski wyzwał oficera austriackiego na sąd boży, za obelgi rzucone pod adresem narodu polskiego. Pojedynek na szablę (grudzień 1854) skończył się sromotną porażką dla przedstawiciela znienawidzonych przez młodzież huzarów. Cyganeria lwowska nie znała żartów, gdy chodziło o honor narodu i godność osobistą. Każdy „cygan” równie zrecznie władał szablą, szpadą i

piórem. Wszyscy niemal przeszli dobrą szkołę szermierki, sławnego w owym czasie Marie'go. — Mieczysław Romanowski, poeta-żołnierz był mistrzem w szermierce i chętnie składał się z przyjaciółmi w Medyce. Tu niejednokrotnie ciszę skwarne go dnia letniego przerywał szcęk białej broni i niejedna błyskawica lśniącego rapiera rozświetlała podcienia pałacu medycznego.

Cyganeria lwowska wiodła życie bogato urozmaiconej młodości. Istnienie jej w latach 1852—1863 było łagodnym przejściem z wysokich szczytów romantyzmu do nizin pozytywizmu polskiego.

Historia cyganerii lwowskiej to zarazem historią lwowskich czasopism literackich z przed roku 1863, gdzie nietylko kuto nowe oblicze literatury, ale gdzie także sycono iskrę, zapalającą serca powstańców.

Przemyśl, w grudniu.

St. Sierotwiński

stopa Chinki jest długa 23,3 ctm. i szeroka 8 ctm. Na zniekształconych kończynach chodziły Chinki, jak na szczydlach, utykając przytem na obłe nogi i ciężko, raptownie pochylając się w bokach. Niesamowity dla oczu Europejczyka chód, odbijał się ujemnie na rozwoju stawów skokowych i kolanowych. I te skarłowaciałe nogi oraz niezgrabny chód były przedmiotem zachwytu dawnych kobiet i natchnieniem poetów.

Kto wymyślił ten dziwaczny i okrutny zwyczaj? Sami Chińczycy nie mogą znaleźć konkretnej odpowiedzi na to pytanie. Miało to być karą dla niewiernych żon czy też środkiem zapobiegawczym, by kobieta troszczyła się więcej o gospodarstwo w swem domu, niż o plotki w sąsiedztwie. Podobno na pomysł ten wpadli mężczyźni, kobietom wmówiono, że mała stopa jest piękniejszą od wielkiej i to wystarczyło biednym niewolnicom mody, by chętnie poddawały się torturze.

Wiele przemawia za tem, że zwyczaj zniekształcania nóg wprowadzono najpierw u mandarynów których żony muszały się czemś różnić od pospólstwa. Ograniczona swoboda ruchów była więcej znośną dla bogatej kobiety, którą noszono w lektykach, albo na plecach, niż dla robotnicy, krzątającej się koło gospodarstwa, lub pracującej ciężko w polu. Jednak z biegiem czasu zwyczaj ten ogarnął nawet najniższe warstwy.

Najnowszy zakaz rządu nankińskiego godzi więc, jak widzimy w prastarą tradycję. Lecz nie jest natchnieniem przyjęty przez społeczeństwo. Wśród wielu już lat widywaliśmy Chinki w stopach normalnie rozwiniętych. Same mówiły, że czas najwyższy, by zerwać z okrutnym zwyczajem, przywdziać europejskie obuwie, zająć się sportem... z uśmiechem pobłażliwym czytała mądrości Kon - Fu - Ce - go.

Rząd chiński, wydając oba wyżej omówione postanowienia, wyznaczył termin do ich wykonania 30-to dniowy. Nakaz wydano 450-ciu milionowemu narodowi, rozszanemu na przeszło 11 milionach kilometrów kwadratowych. Czy termin nie jest za krótki? Czy istotnie tak łatwo będzie wykorzenić tradycję z duszy i umysłu Chińczyka? Mieczysław Babiński.

## Walka rządu chińskiego z tradycją

W tych dniach rząd chiński wydał nakaz obcięcia warkoczy wszystkim mężczyznom w całym państwie. Równocześnie ukazał się zakaz zniekształcania nóg niemowlętom.

Do obu tych uchwał rządu nankińskiego mają się zastosować Chińczycy najpóźniej do dni trzydziestu pod groźbą surowych kar i grzywn. O ile drugie postanowienie rządu jest zupełnie racjonalne i zrozumiałe dla Europejczyków, o tyle pierwsze może w nas zbudzić zdziwienie. Dlaczego to warkocz zdobiący głowę Chińczyka, nagle teraz znalazł się w nielaskie? Dlaczego burzy się odwieczną tradycję, która znalazła w XVIII wieku oddźwięk w Europie, kiedy to harcopfy były szczytem elegancji mężczyzn? — Odpowiedź na to pytanie nie można streścić w jednym zdaniu.

Pierwszy zakaz noszenia warkoczy wydał rewolucyjny rząd chiński przed kilkunastu laty w dobie gromadnego wydawania dekretów mających udowodnić i podkreślić społeczeństwu dokonanie przewrotu. Nie wielu zasobowało się do zakazu. W miastach zreszta już poprzednio inteligencja i bogatsi zarzucili dawny zwyczaj. Nie stosowano też kar wobec opornych, gdyż związki fryzjerskie zwróciły się z prośbą do władz o złagodzenie zakazu, którego bezwzględne wykonanie podcięłoby ich egzystencję. Handel bowiem jedwabistymi, długimi warkoczami przynosił pokaźny dochód zakładom fryzjerskim. Fryzjerom sprzyjała też często zmiana rządu, walki generałów i targi gubernatorów, oraz zbrojne zatargi z Rosją Sowiecką i Japonią — a wszystkie te okoliczności łącznie odsuwały na dalszy plan dopinowanie zakazu noszenia warkoczy przez odnośne władze.

Na drodze surowych reform wkroczył jednak rząd gen. Czan-Kaj-Szeka. Wprowadzono karę śmierci za handel i palenie opium, naukę hieroglifów zastąpiono łatwym, lecz wprowadzającym pewien zamęt w fonetykę i morfologię, alfabetem i wydano walkę zabobonom. Nie nazywa się to w Chinach europeizacją, gdyż zmiany przeprowadza rząd narodowy, lecz w rzeczywistości wzory zaczerpnięte są z kultury białej rasy. Równocześnie wzrasta niechęć do białych, których obwinia się o wiele nieszczęść, jakie przeszły nad „Krajem Środka”. Niknie też powoli w oczach chińskich, może już bezpowrotnie nreszt Europejczyka i Amerykanina. Ale z pod nienawistnego, białego władztwa, podpartego kapitałem i pierwszorzędnym sprzętem wojennym, trudno wylamać się szybko. Może się jednak uda? Trzeba brać przykład z Japonii, która nietylko nie boi się wpły-

wów zagranicy, lecz jej grozi, armią, flotą i przemysłem. „Zetniemy warkocze, niech z nimi runą równocześnie zabobony” — woła rząd chiński — „zmieśmy nasz wygląd, upodobnijmy się do Europejczyka. Idźmy śladami Japonii, a zdobędziemy choćby połowę jej potęgi — trud nasz będzie wynagrodzony!”

Z nakazem obcięcia warkoczy można niewątpliwie połączyć i drugi cel: niwelację społeczeństwa. Chińczyk, właściciel pięknego warkocza z pogardą spoglądał na młodzików wymuskanych na wzór europejski. Nawzajem chłopcy bogatszych, potrosze zeuropeizowanych, wyśmiewali w szkole i na ulicy swych rówieśników, noszących jeszcze warkocze. Często dochodziło nawet do bójk. Teraz zapanuje równość. Nieuzasadnionem zaś jest zaniepokojenie wśród fryzjerów. Częściej przecieź będą musieli teraz strzyć głowy niż dotychczas.

Drugie rygorystyczne postanowienie

rządu dotyczy zniekształcania nóg niemowlętom. Dziwić się należy, że surowy zakaz wydano dopiero teraz. Heż to już pokoleń kobiet chińskich poddano tej strasznej torturze pod nakazem władczej tradycji, której początki są dla nas zupełnie nieznanne. Zapiski, za- bytki poezji i malarstwa dotyczące tego zwyczaju datują się od zamierzchłych czasów, a wiele ich pochodzi z okresu dynastji Tangów (618—967 po Chrystusie)

Dziewczynkom w krótkim czasie po przyjściu na świat, krepowano silnie stopy zwojami płótna, by zmniejszyć cyrkulację krwi. Kończyny zatrzymywały się poprostu w swym rozwoju ulegając zupełnemu zniekształceniu. Jak wykazały badania lekarzy i prześwietlenia promieniami Roentgena kośćcec był przeciętnie zmniejszony o 64 procent. Wymiary stopy kobiety w średnim wieku, były zadziwiająco małe: 15 centymetrów długości i 5 i pół ctm. szerokości, gdy tymczasem normalna

## W starożytnej Retrze

Niemiec średniowieczny pochłoniął Słowian zachodnich bez śladu. Pochód germanizmu od morza niemieckiego i Łaby, aż poza Odrę, postępował ku wschodowi nieubłagany i bez przerwy, trwał długie wieki, często natrafiał na bohaterski, ale zawsze nieszczęśliwy opór i zwyciężył. Cały świat chrześcijański ze swem rycerstwem pomagał Niemcom w tych podbojach. Słowiańszczyzna zaś nie znajdowała nigdzie pomocy. Poszczególne ziemie słowiańskie, rozdarte waściami, zwalczały się wzajemnie i ginęły zdradą wśród tych walk i wzajemnych niechęci. Niemcy umieli podsycać te waśnie, podstępnie, przy pomocy wypróbowanych metod prowokowali walki domowe, a własne barbarzyństwo przypisywali Słowianom, przedstawiając ich ówczesnemu światu chrześcijańskiemu jako fanatycznych pogan, barbarzyńców i dzikich ludzi, zjadających własne dzieci.

A ówczesna kultura Słowian była o wiele wyższą, jak ówczesnych ludów germańskich, na ziemiach Słowian zachodnich panował niebywały dobrobyt i sam Helmond w swojej kronice dziwi się, że na ziemi słowiańskiej nie spotkał się nigdzie z żebractwem, a wszędzie goszczono go niezwykle suto i gościnnie.

Niemieccy kronikarze opisują nam z podziwem ówczesne bogactwa i sztukę Słowian, ich starożytne miasta, jak samantę, Wolin, Rujaną, albo Rugję, Wielki gród, Starogród, Retrę i inne, podziwiając w tych miejscowościach kunsztowne budowle, nawet jednopiętrowe, piękne rzeźby i malowidła i to, co ich najwłaściwiej zaciekawiało, stare pismo słowiańskie, runy, które znajdowali we wszystkich świątyniach i grodach.

Wszyscy zaś niemieccy kronikarze unoszą się nad wspaniałością pogańskiej kontyny w Retrze, w której Słowianie czcili bożka Radzigoszcza albo Radegasta.

Dytmar merseburski tak ją opisuje: „Jest pewne miasto w ziemstwie Ride- rierum, nazwiskiem Ridegost, trójkątne, zawierające w sobie trzy bramy, które otacza wielki bór, dotychczas nietknięty.” Następnie opisuje, że dwie bramy tego miasta stoja zwykle otworem dla licznych pielgrzymów, trzecia zaś od wschodu prowadzi do wielkiego jeziora. Tu misternie z drzewa wystawiono świątynię, która spoczywa na podstawie, wyobrażającej rogi różnych zwierząt. Zewnętrzne ściany tej świątyni ozdobo- niono licznymi, cudownie wykonanymi rzeźbami i malowidłami, które przedstawiają bóstwa, ptaki i zwierzęta. Nad tem wszystkim króluje promieniste słońce. Wszystko tak zewnątrz, jak wewnątrz wykonano ręcznie z wielką sztuką a każde takie malowidło lub rzeźbę opatrzone nazwą bożka, ptaka lub zwierzęcia. W świątyni znajdują się liczne sztandary, wynoszone tylko w czasie wojny, a zwykle strzegą ich witezie w hełmach i zbrojach.

Adam bremeński tak mówi o Retrze: „Największe miasto Retarów nazywa się Retra, siedziba bałwochwalstwa. Posąg Radegasta, bożka ich, jest złoty, łożę purpurowe. Miasto posiada 9 bram i otacza je głębokie jezioro. Do świątyni przechodzi się drewnianym mostem.”

W żywocie błogosławionego Ottona, biskupa bamberskiego czytamy, że świą-

tynie pogańskie przystrojone były ze sztuką podziwienia godną i licznymi wizerunkami ludzi, ptaków i zwierząt, które tak wykonano, że zdaje się, iż żyją i oddychają. „A nazwałbym to cudem, pisze kronikarz, że żadna wilgoć, deszcz czy śnieg nie zmył ani nie przyćmił kolorów tych malowideł, co zawdzięczały umiejętności mistrzów.”

Słowianie składali w tych kontynach od wieków złoto, drogie kamienie, broń i wszystko, co posiadało wartość i było pamiątką zwycięskich wojen. Każdy zaś kronikarz podnosi, że Słowianie gardzili złotem i drogiem kamieniami.

Niemcy, zdobywając ziemie słowiańskie, przycięli skrzętnie i doszczętnie ślady kultury słowiańskiej. Mimo tego, gdy się na podstawie źródeł historycznych porówna kulturę germańską ze słowiańską, musi się przyznać wyższość uciemnionej Słowiańszczyźnie.

Helmond w swej kronice tak pisze: „Cały kraj Obotrytów razem z innemi sąsiednimi krajami stał się pustynią, walektem ciągłych wojen”. A potem dodaje: „Tak wspierał Bóg pobożnego króla i stwierdzał Prawa jego.”

Późniejsi zaś Niemcy dodawali, że ziemie słowiańskie to pustynia nędzna, pusta i uboga, pełna dzikiego zwierza i dzikich pogan, a równocześnie podkreślali, z jaką to ofiarnością, trudami i niebezpieczeństwami zaprowadzali chrześcijaństwo wśród Słowian. Jednego nie mogli dokonać, a mianowicie, nie potrafili zniszczyć własnych kronik, złożonych w archiwach Rzymu.

# Artysta z Damvillers

(W 50-tą rocznicę zgonu Juliusza Bastien-Lepage)

Juliusz Bastien-Lepage był wielkim Francuzem. Był nim nie dlatego, że zyskał sobie sławę znakomitego malarza, lub, że niezmierną pracą całego życia dorobił się olbrzymiego majątku. Nie był też arystokratą, pochodził bowiem z prostej wieśniaczej rodziny. Na polu bitwy też nie zdobył orderów, ni feneralskich szlif. Dlaczego więc znała go i uwielbiała cała Francja?

Bo Juliusz Bastien-Lepage całą rozległą stroną swego ducha żył życiem Francji i dla niej tylko i swego wielkiego narodu — od kołębki aż do trumny — pracował. — Cieszył go i radował każdy triumf jego ojczyzny, zmierzającej różnemi drogami do utrwalenia wielkości i potęgi, głębokim natomiast smutkiem i bolesnym upokorzeniem napawała go klęska Francji w r. 1870.

I tak, jak pięknem i szlachetnym było jego życie, taką też była jego natchniona sztuka. Stała się ona najwspanialszym odbiciem jego jasnej i pogodnej duszy.

Dwie charakterystyczne cechy jego twórczości wysuwają się na plan pierwszy: ukochanie przeszłości swego narodu oraz głębokie przywiązanie i miłość do rodzinnej wioski. — Boć blisko oczyszczonej ziemi tężymał się zazwyczaj Juliusz Bastien, a jeśli kiedy duchem swych natchnień wylatywał ponad nią, to czynił to rzadko i niechętnie. — Taką też pozostała jego sztuka. A świadczą o tym pokoleniom, że artysta ten należał do najlepszych synów Francji w XIX wieku.

Pochodził z wioski Damvillers w departamencie Meuse.

Czułne oko najbliższych mu sercem ludzi, do których w pierwszym rzędzie należała jego skromna matka, ojciec i dziadek, pilnie go strzegło i prowadziło aż do wczesnej i dalszej jego młodości. — Ojciec i dziadek chcieli go widzieć urzędnikiem, matka zaś, marzyła o tem, by syn jej pozostał na rodzinnym zagonie. — Głos męski zdecydował i Juliusz po ukończeniu wiejskiej szkółki został oddany do Collegium w Verdun, gdzie prócz rysunków, nie zaniedbywał studiów literackich. — W Verdun po raz pierwszy przepowiedziano mu świetną przyszłość.

Tu też, wiedziony wielką i gorącą miłością ojczyzny, zamyslał poświęcić się służbie wojskowej i wstąpić do szkoły wojskowej w Saint Cyr. Po kilku latach widzimy go jednak w Szkole Sztuk Pięknych w Paryżu, gdzie z ciężką białą zarabia na kawałek chleba i studjuje malarstwo. Pracuje u Cabanela. Twardy ugor duszy chłopskiej nie ugiął się pod ciężarem przeszkód i niedostatku: chłopski syn nie chce żebrać. Nigdy nie zawoźdzące serce matki jest przy nim. I oto szczęście chce, iż Rada Departamentu Meuse przyznała mu stypendjum w kwocie 600 franków! Lecz to wszystko za mało. I w chwili, gdy niejedem byłby się załamał i zginał niechętnie, ten prosty chłopski syn przez swą wytrwałość, bohaterki upór, a przytem pogodę młodego umysłu i uczucie — wychodził z tej próby życia — zwycięsko.

Nadchodzą Wielkie Dni Francji... Rok 1870... Sedan...

Wielki ten samą miłością, która go pociągała do szkoły w Saint Cyr,

idzie ten chłopski syn na pole walki, by wynieść z niej ranę fizyczną, a w duszy ból z powodu upokorzenia Ojczyzny.

Po dwu latach cierpień fizycznych i moralnych wraca w progi Szkoły Sztuk Pięknych, lecz pozostaje zupełnie już bez środków do życia. Ratując zagrożoną egzystencję, rysuje do pism periodycznych, z kolei przerzuca się do malowania wachlarzy, kwiatów, stworzeń skrzydlatych, profili twarzyczek i tu już zdobywa wzięłość, osiąga powodzenie, staje się popularnym. A kiedy wkrótce otrzymał nowe, niespodziewane zamówienie na duży obraz alegoryczny, przedstawiający fontannę wiecznej młodości, położenie jego materialne gruntownie się zmieniło. Powstaje więc wesoły, jasny jego obraz w rodzaju Watteau, zatytułowany „Wiosna”, — a w ślad za nim, jako wyraz miłości ku własnej wiosce, miłości ludu wiejskiego i sielskiej natury, idzie, wystawiony w roku 1874 krajobraz jego stron rodzinnych, któremu dał tytuł: „Piosenka wiosny”. Obok niego wystawia równocześnie „Portret dziadka”, przedstawiający czysto narodowy typ wieśniaka. Oba te obrazy zyskują sobie poklask doborowej publiczności francuskiej. Artystę spotyka zasłużona nagroda: otrzymuje medal III. klasy i zawiadomienie, iż rząd zakupił „Piosenkę wiosny” do Galerii państwa, a co za tem idzie, że tak upragniony pieniądź da mu możność dalszych studiów.

„Dziewczyna idąca do Komuni” przynosi mu nowy sukces. Lecz wkrótce spotyka go pierwsza, bolesna i niezastuzona gorycz: ubiegając się o nagrodę rzymską, wystawia przesłiczny obraz pt. „Anioł ogłaszający pasterzom narodzenie się Dzieciątku Jezus” i obraz ten wbrew opinii ogółu, dającej palmę zwycięstwa Juliuszowi Bastien — przegrywa na korzyść znacznie słabszego. Usunawszy się w zacisze wiejskie, zwierza się jednemu z przyjaciół, dlaczego tak go poclaga wieś:

FRANC. MAURIAC

## „Moje książki”

Oto „Naśladowanie Chrystusa”, — z tych kartek czerpałem me zachwyty mistyczne najpierwsze. Oto Verlaine'a szlochom przesłknięte, wiersze, które śpiewało serce boleśnie rozdarte. Oto Pascal, co idzie jak przewodnik ze mną ku szczytom i otchłanom, w tę noc serca ciemną.

I ten mój modlitewnik, w którym każdą stronę czytałem na nieszporach, w zachód słońca cichy, obrazki, imionami dzieci ozdobre błękitnie na nich kwiaty i złote kielichy.

Czytało się biskupie na nim „imprimatur” modły o deszcz, pogodę, i litanij wiele na nieszporach w kaplicy mrocznej pensjonatu w te, zapomniane dzisiaj, słoneczne niedziele.

I wreszcie Ewangelja, — źródło wieczne, czyste, w którym ma dusza nędzna z zachwytem się nurza, gdzie widzę Cię jak marzysz samotnie, o Chryste, jak kazasz gdzieś na górze lub uśmierzasz burzę, o Panie mój, co schylasz się ku mej udreco miłośnie wyciągasz ku mnie Twoje ręce!

przełożył KAZIMIERZ RYCHŁOWSKI

i która kiedyś miała zostać jego żona. Kończąc swój obraz, jest pełen nadziei. To też, jak grom z nieba spotyka go nowy cios. Obraz wystawiony w Paryżu w r. 1880, zyskał gorących wielbicieli, lecz równocześnie przysporzył jego mistrzowi nieprzejednanych przeciwników. Wielki medal honorowy wziął kto inny.

I ten zawód znosił Juliusz Bastien po mesku i raz jeszcze ukazał swą szlachetną duszę. Oto w obecności licznych przedstawicieli świata artystycznego, literackiego i dziennikarskiego przy zamknięciu wystawy i rozdawaniu nagród powiedział: „Tworzyłem to dla mojego narodu, dla Francji i Francja ma, com jej dać pragnął — to dla mnie dość...”. Powiedziawszy to przekazał obraz Joanny d'Arc galerii państwa. Królewski ten dar wywołał rumieniec wstydu na obliczach jego zaciekłych rywali.

Po powrotnym powrocie z Londynu rozpoczął nowy obraz. Była nim „Ofiara zstępująca do wody...”. Nie ukończył go jednak, ponieważ w roku 1883 wezwał go Paryż do odmalowania żalobnego konduktu Gambetty i jego samego na łożu śmierci. Ponieważ zarówno artysta, jak i zmarły dyktator kochali Francję miłością najwyższą, Bastien oddał się temu dziełu z zabójczym zapalem. Dżdżysty dzień pogrzebu i chłód panujący w pokoju, w którym Bastien przez ośm dni szkłował obraz nabawiły go ciężkiej choroby, z której się więcej nie podźwignął. Przez długi czas pozostawał odtąd na wsi i tu często gościł swoich przyjaciół, a potem pragnąc odegnać precz smutne myśli i preczucia, począł malować pogodny i pełen wdzięku obraz: „Miłość na wsi”.

W lecie 1883 r. wysłano go pod łagodniejsze niebo Algieru. Lecz on sam już teraz czuł zbliżający się koniec. Kiedy bowiem pewnego razu Theurlet wymawiał mu długą jego nieobecność w domu, on, ścisnąwszy mu rękę, rzekł: „Kiedy się ma przed sobą drogę daleką, należy uporządkować swoje interesy...”. Gdy wrócił do Paryża siły opuściły go zupełnie. Mając tu przesłiczny pałacyk w okolicy parku Monceau a w nim nagromadzony wysiłkiem całego życia majątek, wygody i przyjaciół, wybiegał teraz często wspomnieniami w te drogie miejsca, których już nigdy nie miał ujrzeć. Przed oczyma stanała mu jego rodzinna wioska Damvillers...

Aż przyszła śmierć. Było to 10 grudnia 1884 r. W noc z 9-go na 10-go długo rozmawiał z matką i bratem o Damvillers, o swem dzieciństwie i wczesnej młodości, wspominał przyjaciół Theurleta i Karola Baude, aż wreszcie o godzinie 6-tej zawołał jeszcze po raz ostatni: „Pić mamot!” Lecz oczy zasłzyły mu mgłą śmierci tak, iż kubka nie mógł ująć w rękę... Wkrótce też, — pocieszając matkę, — wyzionął ducha. Miał wówczas lat 36.

Śmierć przyszła dość łagodna i cicha, jak cichem było jego sielskie życie w Damvillers, ukochanej wiosce.

W trzy dni po jego śmierci, w dniu 13 grudnia 1884 roku cała ludność tej wioski wyszła na spotkanie drogi zwłok Juliusza Bastien, sprowadzonych do stron, które umiłował tkwem sercem człowieka z ludu i czystem uczuciem artysty.

Cała zaś Francja oddała hołd nieśmiertelnemu twórcy „Joanny d'Arc”, wprowadzając go w poczet wielkich duchów narodowego Panteonu.

Tadeusz Gryl - Kleszczyński

# Zbójnictwo w Karpatach wschodnich i środkowych

## O lemkowych zbójnikach

Imię jest mowa o zbójnikach górskich, przychodzą nam na myśl opiewane przez lud w rozlicznych piosenkach pociągające tatrzańskich Janosików, czarnohorskich Doboszków, a nie pamiętamy o nich, że niegdyś całe Karpaty były jedną wielką kryjówką, w której bezpieczne schronienie znajdowały liczne bandy opryszków, unikających zetknięcia z karzącą dłoń sprawiedliwości.

Góry Lemkowszczyzny, ciągnące się lesistymi pasmami od Sanu na zachód po Poprad, nie stanowiły w tym względzie wyjątku.

Pierwsze wzmianki o zbójnikach spadają w tych stronach datują się z czasów odległych, kiedy to w Karpatach pojawili się pasterze wołoscy (w XV w.) półdżicy, niesforni, którzy nadmiar swego południowego temperamentu chętnie wyładowywali na karkach przylapanych podróżnych.

Z czasem Wołosi osiedlili się na stałe w niedostępnych kotlinkach śródgórskich i uspokoili się nieco. Naogół jednak ten lud, żyjący w swobodzie, długo nie tknięty jarzmem pańszczyzny, zachował swą dzikość i poczucie niezależności. Dopiero, gdy z końcem XVI w. panowie podgórcy zaczęli zaciskać swym poddańskim obroź pańszczyzny, wielu się buntowało i uciekało w góry. Z tych uciekinierów, trudniących się z musu rozbojem, urastały niebezpieczne bandy opryszków, które przeszły nawet do historii pod nazwą Beskidników.

Sprzyjały Beskidnikom góry lesiste, pełne znakomitych kryjówek, przez które wiodły uczęszczane przez kupców trakty na Węgry, wzdłuż Popradu, przez Łabonę i Tylicz, przez Konieczną i wreszcie przez przełęcz Duklijską.

Na górach, z których rozległy był widok, mieli Beskidnicy swoje czatownie. Do dziś pokazują jaskinie koło wsi Maciejowej (w Sandeczyźnie), skąd wypatrywali zbójcy podróżnych, jacych Tylickim gościńcem na Węgry.

Na górze Cergowej koło Dukli znajdować się miały jaskinie tak rozgałęzione, że sfera psów wypuszczona jedną z nich, według podania, po godzinie dopiero wybiegała z drugiej strony góry.

W jaskiniach tych przebywali stale Beskidnicy, pustosząc dookoła okolicę. Oni to w r. 1566 napadli na kościół we Wrocance (p. Krosno), zrabowali go zupełnie, a proboszcza Adama Sokołowskiego zamęczyli na śmierć, domagając się od niego pieniędzy.

Dalej na wschód w górach sanockich było również niespokojnie; gdy w r. 1643 w czasie najazdu Chmielnickiego szlachta chroniła się przed Tatarami w lasy, Beskidnicy napadali ją i rabowali.

W tym samym roku notują na całym Podgórzu ustawiczne napady opryszków, którzy stają się coraz zuchwalsi.

W r. 1649 banda Beskidników pod wodzą Sawki i Czepca (syna organisty z Grybowa) napadła na Jamgród (część Dukli) własność Jana Męcnińskiego, zrabowała dwór Dolpatego w Gliniku, Ciekowskiego w Żeglach, Olszewskiego w Rópie, wieś Rogi koło Iwonicza i wiele innych.

Szczególnie zawzięli się zbójnicy na szlachtę arjańską, dość liczną po dworach podgórskich. Maciej Kwoczka ze Stebnika, herszt zbójnicki, rezydujący ze swą bandą w karczmie na Hucie Krzyżowskiej (koło Krynicy), zrobił napad na Stanisława Wiszowatego (zięcia Socyna) i tak nieszczęsnego arjanina storturował, że tenże zmarł po trzech dniach. Banda owa miała jeszcze wielu innych Arjan na sumieniu.

Największe nasilenie zbójnictwa wypadło w czasie wojen kozackich, kiedy szlachta była w polu i nie było komu bronić dworów. W tym czasie (w r. 1651)

rozesłał Chmielnicki licznych agentów, którzy, przebrani za dziadów, podburzali przeciw panom chłopów małopolskich.

Największy posłuch zyskali emisariusze wśród Rusinów zamieszkujących góry od Sanu po Krosno, Duklę, Grybów (dziś sięjsi Lemkowie), którzy masowo opuszczali wioski i łączyli się z bandami Beskidników, równocześnie burzył się lud polski w okolicach Meisztyna, Lanckorony i pod Babią Górą. W związku z tym ruchami był słynny bunt Kostki Napierskiego, który na czele górali podhalańskich zdobył w r. 1651 zamek czorsztyński.

Na wieść o zajęciu zamku, w którym, nawiasem mówiąc, całą „załogę“ stanowiło paru żydów, ruszył przeciw Napierskiemu Jordan, starosta ropczycki, a gdy ten odszedł z niezem, srodze przez Napierskiego żelony, ruszyła przeciw sunownikom dragonja biskupa Gembieńskiego z Muszyny.

Wiadomość o oblężeniu Czorsztyna rozeszła się daleko. W karczmie na Krzyżówce zebrał się najgłośniejsi lemkowski hersztowie, Bajus (z Leszczyn pod Gorlicami), Czepiec, Sawka i postanowili poprowadzić swe bandy na odsiecz oblężonym.

Jak wiemy, Napierskiego i jego najwerniejszych towarzyszy wyłali sani oblężeni górale, nie powiodło się też kierownikom odsieczy, Czepiec i Sawka tylko temu zawdzięczali swe życie, że ich Napierski w Nowym Targu od śmierci wyprosił.

Po powrocie na Krzyżówkę Sawka miał postrach w dalszym ciągu. Gdy jednego z jego przyjaciół, Roztockiego, uwieźlił mieszczanie z Muszyny za kradzież baranów, Sawka zagroził im spaleniem miasta i zmusił mieszczan do wypuszczenia złodzieja.

W 1653 r. połączył się Sawka z Hryciem Jachną z Czigelki, również hersztem zbójnickim i od tego czasu operowali razem. Dopiero w czasie wojen szwedzkich odetchnęła trochę Sandeczyzna, gdy Sawkę i jego kompanów zwerbował w roku 1656 do swych chorągwi bracia Jan i Kazimierz Wąsowicze, oficerowie Aleksan-

dra Lubomirskiego z Nawojowej.

Wąsowicze pozyskali górali karpaccich dla sprawy Jana Kazimierza. Jan przy pomocy krewniaka Krzysztofa Wąsowicza, dowódcy jazdy lekkiej Stefana Czarneckiego pobił wówczas Szwedów pod Nowym Sączem.

Pisze o nich znany epigon romantyzmu Mieczysław Romanowski:

„A Wąsowicza lud zbierają w pulki,  
A ciągną ludzi do nich jak jaskółki,  
Znacie ich, rażni, nie lekliwi znoju,  
A będą jako wilk w owczarni w boju“.

Górale śpiewali o nich piosenki, a nawet utarło się wśród nich podobno przysłowie „co Wąsowicz, to człowiek“.

Nie był to jednak pierwszy wypadek użycia w wojnie zbójników lemkowych. Już w pierwszej połowie XVI w. używał ich Hieronim Łaski, instalujący na tronie węgierskim wyganego z kraju Jana Zapolyę. Takie wyprawy wojenne dawały jednak tylko chwilowe odprężenie, po powrocie zbójnicy grasowali nadal. Dlatego też bez względu na ich (czasem nawet znaczne) zasługi, bywają tępieni zewsząd bez miłosierdzia.

W pierwszym rządzie zwalczają ich starostowie po grodach w Sanoku, Bieczu, Sączu.

W r. 1600 Zygmunt III nakazuje staroście bieckiemu „tępić rozbojństwo w cztery lata“, później upomina, by czynił to energiczniej. Pod wpływem napomnień królewskich syple się z pod katowskiego topora istny grad głów; w r. 1614 w samym Bieczu stracono ich razem 120. Wciąż jednak przybywali inni.

Pewnego razu dwu zbójców, sądzonych w Bieczu, podało imiennie 78 współników z trzydziestu wsi.

Do dziś jeszcze pokazują na wzgórzu koło Biecza ruiny kapliczki, pod którą tracono niegdyś zbójników. Z władzami państwowymi współdziałała zgodnie inicjatywa prywatna, dwory organizują obronę, chwytają lub zabijają zbójników. Gdy w r. 1632 wspomniany już Kwoczka napadł z kompanami na dwór p. Krzesza w Męcinie, dziedzic wystąpił przeciw nim czeladź, która dopadła zbójców w karczmie w Wielogłowach, poodbierała im

zbójnickie siekiery i pozabijała, jedynie Kwoczka zdołał uciec.

W góry ruszają ekspedycje wojskowe i prywatne na oblavy. Kazimierz Wąsowicz, rotmistrz piechoty Lubomirskich z Nawojowej zanim zaczął ze zbójów organizować oddziały przeciw Szwedom czy Arjanom, gromił ich gdzie mógł, a pojmany odstawiał do Nowego Sącza gdzie ich ćwiartowano i wbijano na pał.

To samo robiło wojsko biskupie w tak zw. „państwie Muszyńskim“, należącym do biskupów krakowskich. Gdy przychwyciono Prokopa Kapkę, groźnego herszta, zawiśł na szubienicy w Muszynie.

Najgorsze jednak represje nastąpiły po zwycięskiej bitwie pod Beresteczkiem (r. 1651) szlachta upojona zwycięstwem, począła zwołna wracać do domów i mścić się na chłopach za bunt.

Teror, jakim odplacono teraz mieszkańcom górskich wiosek za napady, był tak straszny, że wioski całe uciekały z Polski przez Karpaty, osiedlając się na Węgrzech, gdzie przyjmowano ich jako kolonistów z otwartymi rękami.

W tych czasach n. p. porzuciła starsiedziuby ludność Żeglec (pow. Krosno) i osiadła w Zborowie na Węgrzech (koło Bardjowa).

Wśród Rusinów po drugiej stronie Karpat, znajdziemy wiele nazwisk, wskazujących na to, że kiedyś przodkowie ich uciekli z Polski, n. p. Banicki (z Bańczy), Zdyniak (ze Zdyni), Peruński (z Perunki), Brunarski (z Brunar), wszystko to wsie ruskie, po polskiej stronie leżące.

Mimo tych strasznych represyj, w czasie których padały setki głów winnych i niewinnych, rozboje nie ustały zupełnie, po staremu napadają Beskidnicy na dwory i plebanje, nie przepuszczając nawet swym własnym proboszczom z zapadłych wsi górskich.

W r. 1758 lustruje wieś Irby, leżącą nad samą węgierską granicą dziekan gr. kat. W czasie wizytacji zeznaje proboszcz, że przez najście zbójckie za jego poprzednika ks. Jana Ropskiego (który w niem życie stracił) wszystkie dokumenta zostały zniszczone.

Jeszcze z początkiem XIX w. góry lemkowe nie były bezpieczne. Dziś nawet, starzy gazdowie, którzy w młodości jako juhasi owce po górach pasali, opowiadają o groźnych opryskach, napadających na koszary i szafasy pasterskie, rabujących owce i woły.

Morawski Szczęsny w swych gawędach z Sandeczyzny przypuszcza, że stare kapliczki, wzniesione z kamienia po górskich bezdrożach są śladami dawnych rozbojów i „stoją na mogiłach ludzi zabitych lub nawet zbójców“.

Dzisiaj już w górach Lemkowszczyzny niema zbójników, ale z dawnych czasów wśród ludu pozostała żywa tradycja (szczególnie w Beskidzie Krynickim).

Na Skotarskim Wirchu bacował niejaki Skotarski, człek silny i odważny. Pewnego razu przychodzi do niego zbójnik po żętyce.

— To się napij — mówi bacia — stoł w beczce.

— Kiedy niema czem.

— Et, ot taki — To mówiąc chwycił bacia beczkę oburącz, podniósł do ust i pije.

Zbójca przestraszył się takiej sily i uciekł.

Nie mało też jest opowiadań o skarbach zbójnickich. Na Krajnej hall (również w Beskidzie Krynickim) cztery sągi od studni mieli zbójcy kryjówkę, z której ośmiu koniami wywieźli tram złota.

Niektóre z tych opowiadań o skarbach, zakopanych wśród gór Lemkowszczyzny zostały przeniesione przez przesiedleńców na drugą stronę Karpat, gdzie wśród Rusinów czechosłowackich do dziś dnia są przechowywane.

Roman Relifuss (Gorlice).

## Egzotyczne zwierzę

Włoski oficer Attilio Gatti spędził pięć miesięcy w dziewiczym lesie Ituri w belgijskim Kongo. Szereg artykułów, jakie ogłosił za powrotem, opisuje zaboronnych i nieprzystępnych krajowców i fantastyczną przyrodę afrykańskiej puszczy. Wedle miejscowych informacji, żyje tam małpa, większa od goryla i pokryta rudym włosem, podobnym zupełnie do ludzkich włosów. Gatti widział podobne stworzenie, ale nie miał czasu stwierdzić tych szczegółów. Głównym jednak celem obserwacji była okwapi czyli okapi (Gatti uważa, że pierwsza nazwa lepiej reprezentuje wymowę krajowców) i śmiałemu podróżnikowi udało się schwycić żywcem okaz tego rzadkiego zwierzęcia, czem dotychczas nikt nie mógł się pochlubić.

Okwapi należy do rodziny giraffidae, ale stanowi coś pośredniego między znaną nam żyrafą, antylopą, a przedhistorycznym samotherium z okresu pliocenńskiego.

Głowa zwierzęcia, długa a cienka, jest ciemno czerwona, tułów w praktycznym czarnym, biały i brązowy, nogi od kolan w dół białe z branzoletką koloru kości słoniowej w kostce. Całość nie tylko przyczynia się do urody okwapi, ale też zapewnia jej niedostrzeżalność z odległości większej, niż jakichś 5 metrów. Cała bowiem maść jest idealnym przykładem mimikry. Las afrykański ma zieleń ciemną, prawie czarną i grzbiet okwapi zlewa się z nią w jedną całość — trzeba pamiętać, że na wysokości jałkich dwóch metrów gęstwina jest największa. Białe

i czarne pręgi tułowia i nóg świetnie naśladują liście, przez które przebiegają się promienie słońca, wreszcie srebrno-białe końcówki odpowiadają warstwie zielonych liści, pokrywającej ziemię.

Okwapi stara się też zawsze utrzymać swe futerko w nieskalarym stanie. Ma może ze wszystkich zwierząt największe zamiłowanie do czystości.

Oczy ma okwapi ogromne a ruchliwe. Każde z nich może się, niezależnie od drugiego, obracać w różne strony, więc zwierzęciu nie grozi nigdy niespodziewany napad. Zresztą nie zwykło ono uciekać przed żadnym nieprzyjacielem. Ma potężne żylaste nogi — do obrony używa zwykle tylnych — i rogiem pokryte czoło, którym uderza z wielką siłą.

Jest to stworzenie odważne. Gatti schwycił dwumiesięczne lub dziesięcioletnie ciele, wysokości metra i wagi mniej niż pięćdziesięciu kilo. Umieścił je w wysokim ogrodzeniu drewnianym i posłał do odległej osady Irumu po karmicielkę. Miała nią być olbrzymia krowa afrykańska. Przez chwilę stała ona spokojnie, przyglądając się małemu stworzonku, mniejszemu od siebie jakichś dziesięć razy. Ale gdy ciele zaczęło dobieierać się do wymion, krowa wpadła w wściekłość. Odskoczyła na kilkanaście kroków, nastawiła straszliwe, krzywe rogi i rzuciła się na okwapi. Lecz małość nie okazało bynajmniej strachu. Nie ruszyło się z miejsca i było gotowe od walki. Gatti'emu udało się w ostatniej chwili zapobiec katastrofie a po jakimś czasie między oboma zwierzętami ustał się przyjazny stosunek. P. S.

# Kiedy, dlaczego i jak świętują mieszkańcy Indyj?

Ludność Indyj naogół nie może się uskarżać na brak okazji do świętowania — podobnie zresztą jak i mieszkańcy wielu innych krajów (nie przymawiając). Byłoby porywaniem się z motyka na słonce próbować omówić wyczerpująco wszystkie święta indyjskie w jednym artykule, nie mówiąc o tem, żeby to mogło setnie znużyć i znudzić czytelnika, zwłaszcza w okresie świątecznym. To też ograniczę się tu (in der Beschränkung zeigt sich der Meister, jak wiadomo) do ogólnego — strawnego i dla świątecznego żołądka laickiego — obrazu świąt i uroczystości indyjskich, popierając rozważania ogólne dobranymi przykładami.

## PODZIAŁ ŚWIĄT INDYJSKICH NA DWIE GŁÓWNE GRUPY

Większość świąt indyjskich podzielić można na dwie główne grupy. Pierwszą tworzą takie, których pierwotnym celem było wzmocnienie urodzajności ziemi, uzyskanie deszczu lub pogody słonecznej, zapewnienie sobie pomyślnego wyniku zasiewów i żniw — z pomocą rytów i ceremonij magicznych. Do drugiej zaś należą święta, których obchodzenie miało odpędzić zło i zapobiec zgubnym wpływom demonów lub je unicestwić.

## ŚWIĘTA, MAJĄCE ZAPEWNIĆ POMYŚLNOŚĆ

Dobremi przykładami świąt grupy pierwszej są święta szczepu Ho, zamieszkującego góry na pld. zachód od Kalkuty: pierwsze z tych świąt, których ogółem jest w roku siedem, przedstawia symboliczne zaślubiny ziemi, a odbywa się w czasie kwitnienia świętego drzewa sal (Vatica robusta) drugie przypada na czas siania ryżu; trzecie na porę kielkowania nasion; czwarte obchodzi, gdy się je przesadza; piąte stanowi ofiarę z pierwocin; szóste — oczyszczanie klepiska; siódme i ostatnie wreszcie obchodzą, gdy stodoły są pełne ziarna, a ludzie oddają się swawoli i uciechom. Na tym przykładzie widać doskonale pierwotny związek świąt ze zmianami pór czy raczej okresów roku, ważnych dla rolnika. — Taki związek musiało wykazywać też wiele innych świąt indyjskich i dopiero później ustalono nieco inaczej daty ich obchodu, kierując się kalendarzem księżycowym, przyczem też przeznaczano je już dla uczczenia różnych bóstw i łączono z nowymi formami rytuału.

## ŚWIĘTO PRZESILENIA ZIMOWEGO

Ze tak było, nietrudno przejrzeć niejednokrotnie i dziś jeszcze. Tak n. p. święto Uttarajana (dosłownie „zwrot (słońca) ku północy“), albo Makaransankranti („wejście w znak Koziorożca“) przypadające na czas przesilenia larów, oraz czci „wszech bogów“ (wiśwe dewah), — stanowi właściwe rozpoczęcie roku rolnika. Na południu kraju w tym czasie obchodzą Pongol — składają ofiary z ryżu i rozpalają ogień, mające dotrzeć do słońca, sprowokować je do silnego przygrzewania. Nieco inny charakter ma to święto u Nairów, mieszkańców Malabar, gdzie ma i inną nazwę: Onam; tam w dzień ten: chłopcy bawią się w strzelanie z łuku do siebie, co prawdopodobnie pierwotnie miało za cel odstraszanie złych duchów.

## ŚWIĘTO WIOSENNE

Potem następuje święto, zwane Wasantapañczami („piąty dzień wiosny“), szczególnie mile widziane i witane przez śmiertelników: przez najbliższych 40 dni (osobliwa kwarantanna) ludzie oddają się wyuzdanym swawoli, grzeszą i słowem i uczynkiem, popijają obficie przytem i jedzą niezgorzej (miałoby się prawie ochotę powiedzieć: tout comme chez nous), przedewszystkiem potrawy podniecające, dostrajając w ten sposób pokarm cielesny do duchowego — czy też naodwrot. Nawet osoby zwyczajnie się szanu-

jące włóczą się po ulicach i wyśpiewują pieśni, wielbiące potęgę natury. W Kaszmirze każdy przywdziewa w tym czasie strój żółty, dostosowany do pory roku. Szczególnie gorliwie obchodzą to święto leśne szczepy Assamu (na pld. wschodzie Indyj). „Jest ono tak wesołe jak karnawał! — pisze jeden z naocznych świadków, pułkownik angielski Dalton — i, jak długo trwa, kobiety zażywają niezwykłej swobody. Na wiele dni przed właściwą uroczystością można widzieć, jak młodzież wiejska chodzi grupami, wystrojona w żywe kolory, lub też tworzy koła, w których środku tańczą najładniejsze dziewczęta, rozpuściwszy długie włosy wzdłuż pleców. Pierwszy dzień święta poświęcony jest wzajemnemu odwiedzaniu się, następny kąpaniu i czczeniu bytła, a w trzeci mieszkańcy kilku grup wioski, starzy i młodzi, schodzą się w jakimś umówionym miejscu i oddają się zabawie na dobre. Dziewczęta przy takich sposobnościach nie lubią tańczyć z mężczyznami ze swojej wsi“.

Punktem szczytowym tego okresu świątecznego jest święto Holi w Indiach północnych, zupełnie przypominające nasz karnawał, tylko podobno znacznie bardziej wyuzdane.

## ŚWIĘTA JESIENNE

Niedługo potem przypada Nagapañczami („piąty dzień (ku czci) węża“), poświęcony czci wielkiego węża, który — według wierzeń Hindusów — podtrzymuje świat, dźwigając go na sobie; obchód świąteczny w tym czasie ma wpłynąć dodatnio na orkę i na jesienne zasiewy ryżu, które właśnie wtedy się zczynają. Ceremonie święta żniw składają się na Durgapudza („oddanie czci (bogini) Durdze“) oraz Ramalila („igraszki Ramy“, deifikowanego bohatera Ramajany), przypadające na koniec tej pory roku. Sztuki sceniczne, jakie wtedy się odgrywa, przypominają charakterem trochę średniowieczne misterja europejskie, a stanowią prawdopodobnie przeżytki pierwotnych ceremonij magicznych, jakie zresztą i dziś jeszcze odprawiają w tej porze szczepy leśne.

## ŚWIĘTA, MAJĄCE ODPEŁDZIĆ ZŁE DUCHY

Druga grupa świąt ma na celu odstra-

szanie złych duchów: wiadomo bowiem, że djabeł nie śpi. Ten motyw zresztą po części można odnaleźć i w pierwszej grupie, już omówionej, tylko tam jest on mniej wyraźny, podczas gdy tu jeszcze i dziś jest widoczny w ceremonjach i obrzędach wiejskich i domowych Wspomniany wyżej Ho podczas święta żniw „podjeżdżają — jak pisze cytowany już Dalton — obecność złego ducha i dla pozbycia się go mężczyźni, kobiety i dzieci idą w procesji dokoła wsi i przechodzą przez każde jej miejsce, trzymając w rękach kiję, jakgdyby tropili dziękiego zwierza, przyczem śpiewają dziką pieśń i wykrzykują co sił, aż uznają za pewne, że zły duch uciekł“. Gardzo podobnie dokonują tej ceremonij w Himalajach, a nazywają ją tam „wypędzaniem djabeł“. — Inną postacią tego samego obrzędu jest święto Diwali („święto lamp“), połączone z puszczaniem lampek na wodę (według wierzeń indyjskich światła odpędzają złego ducha); dla należytego skorzystania ze sposobności jeszcze najstarsza kobieta w każdej rodzinie wychodzi przed dom i, uderzając w opakę lub rzeszoto na zboże, wykrzykuje: „Boże zamieszkał! Ubóstwo, idź precz!“

## PÓZNIJSZY ROZWÓJ

Dopiero zczasem ta postać pierwotna, zachowana jeszcze niejednokrotnie do dziś, uległa zmianie o tyle, że zaczęto poszczególnym bóstwom oddawać część z okazji takiego a takiego święta i — w dalszym ciągu — wymyślać nowe święta dla uczczenia bóstw, którym dotychczas nie poświęcono żadnego dnia w roku. Tem się tłumaczy zadziwiająca rozliczność świąt hinduskich. Każde święte miejsce stało się zarazem przybytkiem innego bóstwa: Beneres — Siwy, Mathura — Kryszny i t. d., i każde niemal ważniejsze bóstwo otrzymało w przydziale formalny kalendarz uroczystościowy, aby można było należycie obchodzić pamiątkę różnych wydarzeń z jego życia i odpowiednio uczcić tę czy ową cudowną jego właściwość.

## ŚWIĘTA KASTOWE

Stopniowo święta zaczęły się także zacieśniać do poszczególnych kast i klas ludności. W sierpniu przypada wielkie

święto bramińskie: bramini fabrykują amulety-szurki i obwiązują nimi przeguby rąk swym klientom. Wzajemian za dary, otrzymane od nich (takie używanie szurków i węzłów dla celów magicznych odnajduje się po całym świecie). W październiku znów radżputowie (arystokracja czy szlachta wojskowa) obchodzą swoje święto Dasahra, przypominające swawolą mocno starorzymskie Saturnalia; dawniej w to święto król sam oprowadzał w paradzie byka wokół miasta, by go zabić w świątyni bogini-opiekunki jako zwierzę ofiarne, mające zabrać z sobą grzechy ludzkie (podobnie jak to było u żydów z kozłem ofiarnym). „Święto lamp“, obchodzone też w październiku, jest już właściwie świętem kasty kupieckiej: lampy mają odpędzić niepowodzenie; w pierwotniejszej postaci jednak obchodzą je krowiarze w Biharze (płn. wschód kraju), mianowicie przepędzają bydło przez świnię, a gdy biedna ofiara zginie pod kopytami, gotują ją i zjadają w polu (to też święto to łączy się nieraz i z kultem okrutnej, krwawej bogini Kali, małżonki Siwy, w której przybytkach zaryzują tysiące zwierząt).

## ŚWIĘTA MUZULMAŃSKIE

Wiadomo, że znaczną część ludności Indyj — okrążyło 28 proc. (70 milionów na ogólną liczbę 350 milionów) — stanowią muzulmanie. I oni mają swoje święta, które także możnaby podzielić na takie same dwie grupy; w wielu wypadkach jednak pierwotne znaczenie święta zatraciło się, zatarte specjalnymi obrzędami (nie mała rolę odegrała tu także wielka zmienność dat, gdyż święta te są ruchome). Tak zatem n. p. święto Ramazanu stanowi dokładny odpowiednik indyjskiego święta wiosny: praktykowana wtedy abstynencja ma na celu magiczne wpłynięcie na rozwój ziarna, a kończące Ramazan święto Id, stanowi żywiołowy wybuch radości, mający pobudzić i ziarno. W wielu okolicach, gdzie muzulmanie stykają się z wierzeniami animistycznymi, do kapliczek swych świętych wprowadzili ceremonie i obrzędy magiczne za przykładem otoczenia.

E. S.

# Czerwony Krzyż i Żelazny Krzyż

Axel Munthe cieszy się ustaloną już sławą znakomitego pisarza. Samotny i starzec o łagodnej twarzy, dogasającym spojrzeniu, o sercu gołębiem i tkliwej, miłującej ludzką duszę. U schyłku swego życia czyni przegląd uczynków złych i dobrych. Zanim wieczny mrok przesłoni jego oczy, ogarnia ludzką ciepłem jeszcze spojrzeniem i uczy kochać. Księga z San Michele, to księga życia, w której lekarz, miłujący ludzi i zwierzęta, umie doskonale odczuć ich ból, nędzę i niebezpieczeństwa, a opowiada o tem z szczerą iłą współczucia, z subtelnym uśmiechem pobłażania dla ułomności i z dozą wytwornego humoru.

„Czerwony krzyż i żelazny krzyż“, to niewielka powieść, w której cała groza wojny namalowana została bogatymi kolorami palety Axela Munthe. Ponury cień realizmu posłużył autorowi „Księgi o ludziach i zwierzętach“ do tem jaskrawszego rzucenia straszliwego „oskarżam“ pod adresem Niemiec. „Czerwony krzyż i żelazny krzyż“, to księga wojny i księga oskarżenia. Smutna, budząca grozę, targająca nerwami, wykazująca całe barbarzyństwo „Kulturträgerów“ — księga śmierci.

Żelazny krzyż niemiecki, widomy znak bezwzględnej brutalności „bohaterskich“ junkrów Wilhelma w „zwycięskim“ pochodzie — depece po gruzach i ruinach kościołów i szpitali; dla niego „czerwony krzyż“ humanitarnej akcji bezimiennych i cichych bohaterów jest symbolem bezsilia. I gdzie stąpi odznaczony krzyżem żelaznym, tam niema miejsca dla miłości i miłosierdzia „krzyża czerwonego“.

„Życie jest chyba najśmielszym i naj-

oryginalniejszym na świecie pisarzem oszałamiających opowieści“ — powiada autor i rzeczywiście kreśli potworny wprost obraz gehenny wojennej.

W miasteczku francuskim, zniszczonym pociskami armat, wybuchami granatów i bomb — kościół, który zrządzeniem Opatrzności ostał się cało, zamieniono na lazaret. Jęki nieszczęśliwych, rżenia konających uczyniły z tego Przybytku Boga — dom mąk czyszcących.

Angielski lekarz Czerwonego Krzyża przybywa tutaj w nadziei godziny spoczynku. W szpitalu znajduje opłakaną warunki sanitarne. Marnym półśrodkiem wydaje się wiedza lekarska, bo brak etru i morfiny, jodyny i bandaży skazuje lekarza na całkowitą bezczynność. To też doktor Martin musi być tylko świadkiem strasznych bredzeń w malignie, przedśmiertnych spowiedzi, wreszcie cierpień, z których organizm ludzki śmierć dopiero wyzwała. Skon niemieckiego dowódcy szwadronu podnieca wyobraźnię ciężko rannego żołnierza i daje mu sposobność do naszkicowania obrazu potwornych przeżyć. „Ciesz się, że już umarł“, powiedział żołnierz. „On dowodził moim szwadronem; przez te dwa miesiące żyłem dzień i noc w strachu przed nim... To on poprowadził nas przez płonące ulice Louvain i dymiące ruiny tego, co niegdyś zwalo się Aerschot i było spokojnym miastem, gdyśmy tam wkroczyli, a zamieniło się w rozżarzony piec po naszym wyjściu. To on sprawił, żeśmy strzelali do kobiet i dzieci w Dinaut, żeśmy oblewali domy naftą i podpalali je pochodniami. To on nas zmusił do grabienia i plądrowania w Termonde... — Szereg grozę budzących obrazów przesuwa się przed naszymi oczami.

Do wsi przybyło pięciu oficerów niemieckich, z chirurgiem na czele. Kiedy po przejrzeniu rannych okazało się, że niema wśród nich żadnego generała, ni wyższego oficera, chirurg nie myśli udzielać pomocy rannym. Po tej lustracji oficerowie udają się na ucztę, a śmiechy ich zmieszane z jękami konających budzą grozę i wstręt. Jesteśmy świadkami rozmowy, jaką toczy graf Adalbert Schoenbein z doktorem Martinem. Na wiadomość, że Martin był w Reims, powiada Schoenbein: „Przyznaję szczerze, że zazdroścę panu tego. Ołbrzymia katedra w płomieniach, to chyba wspaniały widok, widok jakiego nigdy zapomnieć nie można“.

Wśród wielkiej ilości dokumentów niejako, jakimi mogą być kreślone przez Axela Munthe sceny do straszego dramatu zdziczenia i barbarzyństwa Niemców w czasie wojny światowej we Francji, przewija się i osobisty dramat doktora Martina, na którego ustach wykwiła gorąca modlitwa do Boga Zemsty; lecz „Bóg sam wybiera chwilę“ dopowie zakonnica.

„Czerwony Krzyż i żelazny krzyż“ Axela Munthe, to księga smutna. Księga śmierci i oskarżenia. A unosi się nad nią bolesć miłosiernego serca i oburzenie czystej, dobrotliwej duszy. „Czerwony Krzyż i żelazny krzyż“ to groźne „memento“ dla nowych pokoleń ludzkich, to książka na czasie, a wydana w przeddzień niemal plebiscytu w zagłębiu Saary, musi zastanawiać.

Axel Munthe w „Czerwonym Krzyżu i żelaznym krzyżu“, dając obraz godny pędzla Delacroix, rzucił potężne oskarżenie tym, którzy ślepe instynkty przełożyli ponad miłosierdzie.

# Jak się odżywiać w zimie wedle zasad przyrodolecznictwa

Jest powszechne mniemanie, że w zimie należy odżywiać się lepiej, aniżeli w lecie, a to z tego powodu, że w zimie utrata ciepła jest znaczna i w organizmie potrzeba więcej opału. To też w zimie dajemy zazwyczaj przewagę pokarmom pożywnym, obfitym w białko i tłuszcze, a mniej używamy jarzyn i owoców, o które jest zresztą trudno. Zapatrywanie to jest błędne, bo właściwie organizm w zimie mniej zużywa energii i mniej produkuje kaloryj, niż w cieplej porze. Rozumie się, stosuje się to do zawodu inteligenta, który w zimie po większej części przebywa w mieszkaniu, a mniej na dworze i fizycznej energii zużywa niewiele. Inną miarę potrzeba zastosować u tych, którzy z powodu swego zajęcia muszą przebywać przeważnie na świeżym powietrzu. Inteligent pracuje w opalonym pokoju, a wychodząc na dwór ciepło się ubiera i jest przed utratą ciepła zabezpieczony.

Najważniejszą jednakową jest to, że w zimie noc są długie, a dni krótkie, wobec czego sen zimową porą bywa dłuższy. Spalanie w ustroju, a skutkiem tego wydzielanie przez płuca kwasu węglowego jest znacznie większe w dzień, w świetle dziennym, niż nocą podczas snu, — co wpływa na ograniczenie przemiany materii w zimie. W lecie śpiemy krócej, przeżywamy większą część dnia na powietrzu, jest więcej słońca i promienie chemiczne działają na naszą skórę, zwłaszcza przy kąpielach powietrznych, rzecznych i t. p., a co najważniejsze, w lecie dużo się ruszamy i pocimy. Wobec tego wydatek energii naszego ciała jest przynajmniej dwa razy większy w lecie, aniżeli w zimie, a do tego ilość pokarmów musi się dostosować.

A teraz zastanówmy się, czy nasz sposób odżywiania w zimie tym warunkom odpowiada. Jaką jest w zimie kuchnia inteligenta? Przeważnie żyjemy się mięsem wędlinami, konserwami, jajami, mlekiem, a przytem zjadamy dosyć tłuszczów oraz kasz, chleba i bułek, względnie legumin, a mało spożywamy jarzyn i owoców.

Większość tych pokarmów albo całkiem nie zawiera witamin, albo tylko w małych ilościach, a w całym pożywieniu jest nadmiar białka i tłuszczów. Przytem inteligent pije w zimie dużo herbaty, kawy, a przygodnie także alkohol. Oprócz tego w ciągu zimy przypadają święta Bożego Narodzenia, Zapusty, a z wczesną wiosną Wielkanoc, kiedy inteligent jeszcze obficie się odżywia, co wszystko razem nie może być bez wpływu na przemianę materii. Prócz spożywania tak znacznej ilości pożywnych pokarmów, inteligent cierpi w ciągu zimy na ustawiczny brak powietrza w pokoju i nawet podczas swoich rozrywek, w kinie, teatrze, na zebraniach i t. p., skutkiem czego organizm nie może spalić nadmiaru pokarmów i powstają we krwi „niedopałki“, rozmaite zanieczyszczenia, wadliwa przemiana materii, oraz skaza moczonowa. Wszystko to wpływa na zdrowie, albowiem zanieczyszcza krew, staje się podłożem podatnym dla rozmaitych chorób zaraźliwych, szczególnie grypy, oraz różnych cierpień, zwłaszcza artretycznych i nerwowych.

Przystępujemy do właściwego tematu, jak odżywiać się w zimie i czy należy jadać obficie. Człowiek, jako członek przyrody, musi przystosować się do tego, co daje natura, a natura zwierzęta karmi bardzo skąpo i z tego powodu niektóre z nich zapadają w sen zimowy, a ludność wiejska żywi się bardzo skromnie, aby doczekała do przednowka. Inteligent postępuje przeciwnie, co nie może ująć bezkarnie.

Oto zasady przyrodolecznictwa, jak się odżywiać w zimie: Przedewszystkiem jadać mało, wystarczy o połowę mniej niż w lecie, a również nie nadużywać płynów, ponieważ człowiek w zimie mało się poci i nawodniony organizm jest mniej odporny. Co do składu pokarmów, to nie powinno się różnić pożywienie zimowe od letniego. Jeżeli w lecie nie mamy pojęcia do pokarmów białkowych i do tłuszczu, a żyjemy się przeważnie jarzynami i owocami, to również i w zimie to samo obowiązuje. Coprawda w zimie jest trudniej o jarzyny i owoce, ale tembardziej ich szukać należy, a jeżeli nasze gospodynie o tem pomyśla, to z pewnością je zdobędą, na targach lub z własnych ogrodów. Nie zależy na wielkiej rozmaitości, ale na ich wartości odżywczej.

Ponieważ w zimie naszym organiz-

mi daje się we znaki głód witamin, bo mało używamy ich w pokarmach, dlatego przyda się wzmianka, gdzie się one znajdują. Najwięcej jest ich w jarzynach zielonych i korzeniowych. Tu należą sałaty zimowe, główki kapusty dobrze utrzymane, brukselka, jarmuż, — które spożywa się zarówno na surowo, jak i gotowane; oczywista więcej witamin będzie w stanie surowym, aniżeli w gotowanym. — Znaczną ilością witamin odznaczają się jarzyny korzeniowe, w pierwszym rzędzie jadalne na surowo: rzepa, rzodkiew, marchew i brukiew (tarta) i wszelkie zieloniny i przyprawy: szczypiorek, chrzan, naciina pietruszki, pory, cebula i czosnek, a również buraki\*). W odżywianiu zimowym wielkie znaczenie mają pokarmy kiszzone, jak kapusta i ogórki. Zachowują się w nich nie tylko witaminy, ale i kwas oraz bakterie mleczne, bardzo pożyteczne dla trawienia. W braku świeżych warzyw mogą je zastąpić jarzyny suszone.

Witaminy idą zazwyczaj w parze z solami zasadowymi, których dla odwaszenia organizmu i równowagi przemiany materii, potrzeba w odżywianiu wiele. — W owocach krajowych jest witamina mniej, niż w jarzynach, natomiast w owocach z krajów słonecznych, jak w cytrynach, pomarańczach, bananach, figach i t. p., jest ich dużo.

Jak widzimy, w dziecie zimowej skład pokarmów jest bardzo ważny. W lecie bowiem, kiedy przemiana materii jest żywsza, organizm łatwiej zniesie błędy w odżywianiu. Natomiast w zimie złe skutki natychmiast występują. Aby utrzymać dobrą przemianę materii, przyrodolecznictwo podaje taki stosunek: jarzyn, kartofli i owoców powinno najmniej być 3 razy tyle, aniżeli razem wzięwszy pokarmów białkowych, zbożowych i tłuszczów. W zwyczajnym wikcie inteligenta,

\*) Szczegółowy opis tych jarzyn znajduje się w Kuchni jarskiej str. 360—382, wyd. Arcta.

tj. mięsny, stosunek bywa odwrotny: jada się za dużo pokarmów białkowych, tłuszczów, chleba, kasz i legumin, a jarzyn i owoców niewiele.

Z tego wynika, że najzdrowszy jest wikt jarski, trzeba jednak wyjaśnić, że muszą w nim przeważać jarzyny i owoce, a nie, jak często się mniema, pokarmy zbożowe z jajami i mlekiem.

Co do mleka, to przyrodolecznictwo całkiem nie zaleca mleka w zimie, i to kilku przyczyn. Przedewszystkiem, mleko jest w zimie z natury gorsze, bo brak w niem witamin, a krowy przechodzą okres oczyszczający, więc składniki ich mleczystej krwi dostają się do mleka; stąd pochodzi nieraz niemia woń jego. Dalej, łatwo strawne mleko przeszkadza strawieniu pokarmów białkowych i tłustych, które z tego powodu w przewodzie pokarmowym zalegają i rozkładają się. — Wreszcie, mleko jest przeznaczone do odżywiania młodych, ale jest dla nich jedynym pokarmem, gdy u człowieka dojrzalego jest ono uzupełnieniem i tak zanadto obfitego jada.

Jeszcze o ważnym zagadnieniu, o przemianie materii w zimie. Przyrodolecznictwo zwraca szczególną uwagę na okresy zimowego przesilenia w organizmie u człowieka i zwierząt.

Są dwa takie okresy, w których ustroj oczyszcza się ze złych materii. Pierwszy na początku zimy, a drugi już w przejściu zimy ku wiosnie. To prawo natury znali już starożytni; świadectwem tego są w tym czasie posty religijne, a u chrześcijan — adwent i wielki post. Posty te w wiekach średnich ściśle zachowywano, dzisiaj jednak utrzymuje je tylko lud wiejski, a inteligencja, rzekomo słabsza, od nich się uchyla — pomimo, że posty dla niej są potrzebniejsze z powodu złej przemiany materii, na którą lud wiejski nie cierpi. Post na początku zimy, a przynajmniej wstrzemięźliwość w jedzeniu, ma swoje naturalne uzasadnienie. W jesieni, kiedy jest największa obfitość pokarmów, a natura niejako przy-

gotowała zapasy na zimę, człowiek nadużywa pokarmów, czego dowodem przybytek na wadze (1—5 kg.). Wtenczas to przemiana materii się pogarsza, dlatego zachodzi konieczna potrzeba oczyszczenia krwi, co właśnie najłatwiej osiągnąć postem, a człowiek, zyskawszy na zdrowiu, dobrze zniesie twarde warunki zimy. — Posty na przedwiośnie są również przystosowane do naturalnych warunków. — Cała przyroda się odnawia, a bujność sił wiosennych wymaga także od człowieka, odpowiedniej wytrzymałości, aby z tych sił ożywczych mógł korzystać, inaczej zamiast podnieść jego energję życiową, raczej ją przytłumi. Stąd wniosek, że do oczekiwanej wiosny potrzeba również się przygotować — przez oczyszczenie organizmu i wzmocnienie całego ciała.

Z powyższych wywodów możemy się przekonać, że od sposobu odżywiania zależy, czy człowiek zimę dobrze znosi, czy też jest ona dla niego nieprzyjemną i grozi rozmaitemi cierpieniami. Zima jest przyłacielem silnych i zahartowanych i dla tych miłszą porą roku, niż inne. Jest zatem w naszej mocy, aby nam również służyła. Rozważmy więc, jakie środki, prócz zdrowego odżywiania w zimie jeszcze się nastęrczają do wzmocnienia naszego ustroju.

Na pierwszym miejscu jest świeże i orzeźwiające powietrze, w ozon obfite, oczywista na dworze (a nie w mieszkaniach), które wcale nie sprzyja rozwojowi bakterij. W mroźnym powietrzu i w zmianach atmosferycznych zimy mamy doskonały środek do hartowania i możemy go stosować odpowiednio do naszej odporności, odzyskując ciepło za pomocą ruchu. To też sporty zimowe są bardzo zdrowe, a kto je uprawia, ten zrozumie, czem są przyjemności zimy.

W zimie musi człowiek niejako dożywać życie i ponosić więcej trudów, aniżeli w innych porach roku, ale zmagając się z twardymi warunkami bytu, ćwiczy swą wolę i energję i wytrzymałość. Tem się tłumaczy, że narody północne są zdrowe i długowieczne. Wszak Polska z niemi sąsiaduje i również ma tęgie zimy, więc rozporządza podobnymi środkami do hartowania — ku podniesieniu energii narodu.

Dr. A. Tarnawski, z Kesowa.

## Przesmutne karty...

Świeżo z druku wyszło dzieło treści podróźniczej.

Marja Bohdan Niedenthal: *Ucayali. Raj czy Piekło nad Amazonką.* (Dom Książki Polskiej, Warszawa 1935).

W dziele tem napotyka czytelnik przesmutne opowieści o fantastycznym marnotrawieniu naszych zasobów materialnych i obniżaniu powagi Polski.

Niepodając szczegółowej treści przytaczamy z niej kilka ustępów.

Do Ucayali w peruwiańskiej Montanji popłynęli p. Niedenthalowie w r. 1930 w towarzystwie rodziny rolnika Dziewy i Dra Szymańskiego, lekarza.

Dyr. Warchałowski nie przygotował nic na przyjęcie emigrantów, którym w Warszawie obiecano gotowe działki domy.

„Serce mi się krajało“ (pisze p. Marja Niedenthal) „gdy przyszedł do mnie adwokat poseł na Sejm w Limie, pokazując kontrakt jednej z ofiar Syndykatu Warszawskiego, i pytając, czy figurująca na nim pieczęć, jest rzeczywiście pieczęcią instytucji rządowej Państwa Polskiego? W głowie jego nie mogło się pomieścić, jak mógł Syndykat tak zdrwić z Urzędu Emigracyjnego, każąc mu podpisywać kontrakty, które zgóry uważał za fikcyjne. Nie wystarczyło roztrwonienie setek tysięcy dolarów akcjonariuszy polskich dla dopełnienia potrzebne były kilkadziesiąt tysięcy wyludzonych od rządu peruwiańskiego“.

Parodią było tu wszystko, co się działo... co urządził Syndykat... pozwalając dyskredytować imię Polski

wymawiane w r. 1926 w Peru z pełną czcią“.

Na akcję przygotowawczą, na komisje badawcze, które nic nie zbadaly, były pieniądze, idące w setki, tysiące, ale gdy przyszło do samej pracy osadniczej, zabrakło złotych na kupno kolonizacji, czy paru kur obiecanych w kontrakcie“.

„Przysyłano przez Urząd Kolonizacyjny przeważnie lumpenproletariat z wykołonej inteligencji i robotnika“. W tem i Niemców, wrogich Polsce.

By nadać większą moc swym słowom pani N. cytuje z broszury Dr. Ad. Jarzyny, „Peru widoki dla osadnictwa rolnego na polskiej koncesji“, ustęp o umowie zawartej z dyr. Warchałowskim.

„Jeżeli Kolonja Polska osiedli 150 rodzin, wówczas Warchałowski otrzyma 50.000 ha, natomiast wedle § 3 kontraktu z Kolonją Polską przeleje na nią tylko 18.000 ha. W drugim roku przypadnie darmo Warchałowskiemu znowu obszar większy niż kolonji“.

Z szóstą grupą osiedleńców (nierolników) przyjechał sekretarz Kolonji w Warszawie Aleksander Kurowski jako dyrektor, a panujący na kolonji głód wtedy „spowodował okradanie pół-Indjan przez kolonistów polskich“. Kurowski popijał z osiedleńcami w karczmie, a inicjatorem i wykonawcą rzetelnie pojętej pracy organizacyjnej był ks. Sokół, w którego ręce nie oddano odpowiedzialnego stanowiska dyrektora kolonji.

„Dobiega 4 rok od rozpoczęcia akcji peruwiańskiej. Nic nie zrobiono, aby ulżyć doli tych, których użyto do nie-

samowitego eksperymentu osadniczego. Długi u peruwiańczyków... zobowiązania wobec kolonistów niezapłacone... Winnych nie pociągnięto do odpowiedzialności“.

„Walczy Dziewa z nędzą w Brazylii, przeklinając chwile, w której zachciało mu się zostać pionierem“. Z nim wielu innych.

Poważna firma nakładowa wydała pracę p. Niedenthalowej Książka ta nieskonfiskowana, dotarła do rąk licznych czytelników, znalazła się w inwentarzu czytelni publicznych.

Przesmutne jej karty wzbudzą w licznych sercach bolesne refleksje. Czytelnicy z dniem każdym coraz ciężiej odczuwający własne zubożenie poratują nie tylko nieszczęsnych Dziewów zmarniałych w Peru, ale pożałują też i grosza zmarnowanego na próby koszarne osadnictwa rolnego w Peru.

Nie uszczęśliwia nikogo, a jest szkodliwą propagandą zewnętrzną i wewnętrzną realizacją gwałtownych inicjatyw legnących się w głowach działaczy pełnych fantastyczności pozbawionych przygotowania naukowego. Oni działają i cierpi za to całe obywatelstwo Polski.

Al. Żarat.

### Kolorowe groteski filmowe

Wytwórnia Universal wypuściła na rynek pierwsze swe groteski rysunkowe w naturalnych kolorach. Bardzo oryginalne w pomyśle i świetne w ujęciu oraz wykonaniu stoją te miniaturowe filmy, rysunkowe na najwyższym poziomie artystycznym.

—x—